

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

czerwiec 2010 r.

Nr 7 (89)



Drogi, stęsknieni słoneczka i wypoczynku, Czytelnicy!

Na szczęście już chyba za nami (odpuścić) wszystkie tegoroczne nieszcześcia. Zaliczyliśmy hurtem powodzie, trąby powietrzne, osuwiska ziemne i co tam jeszcze matka natura dla nas przygotowała. Naprawdę wystarczy – karawana musi jednak iść dalej – i oczywiście pójdzie. A oto, co u nas. Janusz Gulczyński ciekawie poszerza wiadomości sybirackie, przybliżając postać kpt. Jana Ankudowicza oraz kolekcjonera Franciszka Olecha – myślę, że Państwo, po zapoznaniu się z artykułem, na pewno odwiedzą muzeum. Z satysfakcją pokazujemy naszego współpracownika i prezesa TPK Piotra Rybczyńskiego otrzymującego tegoroczny Benedykt – gratulacje! Z obowiązku kronikarskiego podajemy również rzeczy smutniejsze. Odszedł od nas człowiek renesansu, instytucja historyczna, założyciel prywatnego muzeum, inż. Stanisław Pijanowski. Trudno zastąpić takie osoby. Nie mogąc z powodów technicznych uczestniczyć w pogrzebie, pojechaliliśmy kilka dni później z dyrektorem muzeum Lechem Stefaniakiem, aby złożyć kwiaty i zapalić znicze na Jego grobie – stosowne zdjęcie obok. Tekst pożegnalny Bartosza Kielbasy, który przeprowadził ze Stanisławem Pijanowskim ostatni wywiad („K” nr 76 i 77) na stronie następnej. Zamieszczamy również pożegnalny wiersz Jadwigi Naskręckiej poświęcony Krystynie Runge, wnuczce ostatniego właściciela Żychlina (więcej o losach rodziny Bronikowskich w książeczkach p. Jadwigi, jeszcze do nabycia w zakładzie fotograficznym W. Sypniewskiego).

Z cyklu Sybiracy kolejne wzruszające wspomnienie, tym razem pani doktor Teresy Kaszuby – zalecana lektura. Weneda (pozwól Janeczko przy okazji na życzenia imiennowe oraz urodzinowe) – oraz Marysia Cieślak słów kilka poświęcają powodzi, wrócimy do tego tematu za miesiąc w obszerniejszym reportażu fotograficznym. Z okazji Dni Konina Galeria Sztuki „Łaźnia” zaprezentowała bardzo ciekawą wystawę osób, które są w szczególny sposób obecne w życiu naszego miasta. Autorzy tym razem nie kierowali się zasługami postaci, a raczej sympatią do nich. Danuta Drzewiecka, Karol Drzewiecki (syn, student IV roku ASP) oraz Mirosław Jurgielewicz pokazali trzy odrębne, ciekawe techniki: malarstwo, rysunek oraz fotografię. Mnie najbardziej spodobał się Kazek Lipiński w wiośniowym wieńcu satyra – kto nie widział, niech żałuje! Zygmunta Kowalczykiewicza (starszy) poświęca swój artykuł powstaniu i pracy artystycznej Orkiestry Dętej Kopalni Węgla Brunatnego „Konin”. Gdyby nie zapiski Zygmunta, kto by dzisiaj pamiętał o tych „drobiazgach” budujących całe poważne trwanie ludzi i instytucji. Natomiast Włodek (młodszy Kowalczykiewicz) pastwi się nad modnym ongiś słowem winkiel, też ratuje od zapomnienia ciekawą „koninianizm”. Mirka Dimitrow znalazła 2 km od centrum Konina (dokładnie od kościoła Kolbego) za-

bytek klasy „zerowej” i oczywiście nie mogła sobie odpuścić uwiecznienia go dla „K”. Ja zaś zapraszam do lektury wywiadu z dyrektorem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Koninie panem Henrykiem Janaskiem, również wiceprezsem Tow. Przyjaciół Konina.

Ze słonecznym pozdrowieniem
– Stanisław Sroczyński

PS Z przyjemnością kwituję dla „Koninianów” pozdrowienia oraz potężną garść wiadomości historycznych od wernego czytelnika Jacka Mirosława Pobjewskiego. Serdecznie zapraszam do współpracy, oczywiście pod warunkiem, że będzie Pan pisał na komputerze. Niby pismo wyraźne, ale tego mnie kolego zmarnowałeś (co zrobić z „resztą” suwenirów?).

StS



Muzealne odstony tematyki sybiracko-katyńskiej



Dostosowuję temat felietonu ślonego do czerwca „Koninianów” do tematyki sybiracko-katyńskiej,

k która obecna na łamach majowego numeru miesięcznika Towarzystwa Przyjaciół Konina – jak zapewnił red. Stanisław Sroczyński – ma być kontynuowana i w numerze czerwcowym.

Okazja wszakże to dobra, żeby napisać i przypomnieć dwie wystawienne inicjatywy muzealne.

Na początku grudnia ubiegłego roku uruchomiono w nowo odrestaurowanym budynku XIX-wiecznego spichlerza w Gosławicach ekspozycję „Kpt. Jan Ankudowicz 1924-2009 (wystawa biograficzna)”. Szerszy materiał o przedsięwzięciu zaprezentowano na łamach 5 numeru „Konińskich Zeszytów Muzealnych”. W tym miejscu chciałbym jedynie zaznaczyć, iż po śmierci kpt. Jana Ankudowicza (10 marca 2008 r.), wdowa po zmarłym, pani Hanna Ankudowicz, przekazała muzeum (jak powie-

działa – „zgodnie z wolą męża”) ciekawy zestaw pamiątek osobistych kpt. J. Ankudowicza. Między innymi w oparciu o te obiekty została urządzona ekspozycja. Na jej otwarciu, 2 grudnia 2009 r. Hanna Ankudowicz mówiła o zasługach wojennych męża, jego pracy społecznej i zawodowej. Podaję z tego przemówienia kilka wybranych fragmentów:

„[...] miał wiele pasji: działalność w organizacjach kombatanckich i społecznych, wynalazczość, wędkarstwo, Liga Obrony Kraju, uprawa działki. Swoją dom i ogród nazywał małą Rzeczypospolitą, z tęsknoty za ojcowizną.

W 1988 roku zarejestrował w Urzędzie Wojewódzkim w Koninie Związek Sybiraków i został jego prezesem. Funkcję tę pełnił przez 10 lat, utożsamiał się z tą społecznością, a nawet udostępnił parter swojego domu na biuro związku, na 3 lata bezpłatnie.

W 1991 roku został wybrany na przewodniczącego Wojewódzkiej Rady ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych w Koninie, funkcję tę sprawował do 2000 roku [...].

Doświadczył w swoim życiu wielu cierpień i krzywd. Był człowiekiem skromnym, wymagającym od siebie i od innych [...]. Po-

zostawił po sobie ślady swojego działania:

- inicjator i projektant pomnika Sybiraków na Drodze Krzyżowej przy kościele p.w. św. Maksymiliana Kolbe;
- inicjator pomnika Międzynarodowego Pojednania, kończącego Drogę Krzyżową;
- inicjator fundacji sztandaru Związku Sybiraków Oddziału w Koninie;
- odpowiedzialny za I i II wydanie książki „Sybirackie losy zesłańców regionu konińskiego”;
- inicjator nadania imienia Sybiraków jednej z ulic Konina;
- wybudował dom, zajmował się ogrodem, szczególnie uprawą winnej latorośli [...].”

Temat drugi i druga ekspozycja. W kwietniu otwarto we wspomnianym już budynku spichlerza III edycję wystawy „Kolekcjonerzy i hobbyści”. Pośród autorów – uczestników prezentacji – znalazła się też bardzo ciekawa kolekcja filatelistyczna Franciszka Olecha, zatytułowana „Sybiracy”, zawierająca zarówno tematykę Sybiracką, jak i filatelistyczne odstony problematyki katyńskiej. F. Olech, obecny przewodniczący konińskiego oddziału Związku Sybiraków, należy do najbardziej znanych i uznanych

kolekcjonerów w regionie konińskim. W gosławickim muzeum wystawiał już wcześniej swoje zbiory: kilka lat temu filatelistykę poświęconą Janowi Pawłowi II, a w 2007 r. tematyczną sekwencję znaczków pocztowych: „Polskie Parki Narodowe”. Pamięta F. Olech zesłanie i lata pobytu na „niehumanitarnej ziemi”, stąd pewnie i tematyczne reminiscencje ujęte w filatelistyce.

W zestawieniu tabelarycznym zamieszczonym w pracy „Sybirackie losy zesłańców regionu konińskiego”, odnotowano: Franciszek Olech, syn Pawła, urodzony 6.02.1931 r. w miejscowości Krasne, woj. tarnopolskie. Z tejże miejscowości deportowany 10.02.1940 roku na teren Komi, obwód Syktywkar, rejon Obiaczewo, do domu dziecka. Następnie na teren Uzbekistanu.

Nie sposób w tak krótkim piśmiu dogłębnie odnieść się do wszystkich walorów filatelistycznych zaprezentowanej kolekcji. Nosi ona właściwie charakter filatelistyczno-filokartystyczny i składa się z wielu tematycznych sekwencji. Na ozdobnych (z elementami plastycznymi) kartach pocztowych – tzw. odkrytkach – naniesione zostały znaczki pocztowe. Można jedynie wymienić kilka wiodących sekwencji: temat

zesłań na Sybir po powstaniu styczniowym; postaci dla przykładu: Jana Czerskiego – geologa i paleontologa; Bronisława Piłsudskiego; św. Brata Alberta (Adama Chmielowskiego); św. Rafała Kalinowskiego – patrona Sybiraków; Wiktora Ignacego Godlewskiego – przyrodnika; także Józefa Piłsudskiego – jak głosi etykieta – „Sybiraka z legitymacją nr 1”.

Wydzielono temat zesłań od lutego 1940 r. i ich kolejnych rocznic.

W zakresie tematyki katyńskiej przedstawiono m.in. walory filatelistyczne ilustrujące Stowarzyszenie Katyń w Koninie; obiekty poświęcone Matce Boskiej Kozielskiej, por. pil. Janinie Lewandowskiej, córce gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, zamordowanej w Katyniu; ks. prałata Zdzisława Peszkowskiego – kapłanowi Rodzin Katyńskich, także Ogólnopolskiej Pielgrzymce Sybiraków do Sanktuarium Maryjnego w Licheniu.

Wyeksponowano karty i znaczki pocztowe odnoszące się tematycznie do wydarzeń wojny i okupacji 1939-1945.

Zbiory filatelistyczne Franciszka Olecha stanowią wartościową odsłonę ekspozycji „Kolekcjonerzy i hobbyści 2010”.

Janusz Gulczyński

Katyńskie rodzinne wspomnienia dr Barbary Kaszuby

Mój wuj – Marian Kaszuba, syn Wojciecha, urodził się 4 września 1915 roku we Władzinie gm. Uchanie powiat Hrubieszów województwo lubelskie, w rodzinie ziemiańskiej. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Uchaniach i Hrubieszowie. W 1934 roku został przyjęty do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego im. M. Brzezińskiego w Leśnej Podlaskiej. Po otrzymaniu dyplomu w 1935 roku uzyskał uprawnienia do nauczania w publicznych i prywatnych szkołach powszechnych. W trakcie nauki odbywał szkolenia wojskowe, po których uzyskał stopień podchorążego. Następnie został zatrudniony przez Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie jako kontraktowy nauczyciel Publicznej Szkoły Powszechnej w Krężnicy Jarej i jako kierownik Publicznej Szkoły Powszechnej w Kolonii Krzczonów.

Latem 1939 roku złożył podanie o przyjęcie na studia na Wydział Nauk Humanistycznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Niestety, w sierpniu 1939 roku został powołany do wojska i poszedł na wojnę. W jakich okolicznościach dostał się do niewoli rosyjskiej? – nie wiadomo. Podchorąży Marian znalazł się w obozie jenieckim w Kozielsku. Przebywało tam 4594 jeńców. Wśród oficerów było około 200 lotników, w tym jedna kobieta, wybitni ludzie nauki, lekarze, prawnicy, prokuratorzy, inżynierowie, dziennikarze itp. Obóz mieścił się na terenie monasteru (klasztoru prawosławnego). Z braku miejsc jeńców ulokowano także w cerkwi. Rozkazem Stalina z 3 marca 1940 roku wszyscy oficerowie zostali wywiezieni transportem



Kaszuba Marian ur. 4.09.1915r.
Nauczyciel Podporucznik,
jeniec Kozielska,
zamordowany w Katyniu w maju 1940 r.

kolejowym do oddalonego o 300 kilometrów Katynia, a tam w lesie zabijani strzałem w głowę.

Marian Kaszuba zdążył jeszcze napisać list, datowany na 28 grudnia 1939 roku do rodziny o następującej treści: jestem zdrow i czuję się dobrze. Znajduję się na terenie ZSRR. Jak czuje się... (tu wymienia imiona braci i znajomych, i prosi, by do niego pisać). Rodzina i brat Michał wysyłała na adres – Smoleńska obłast CCCP Kozielsk pocztowy jaszczek nr 12 – pieniądze i drobne paczki. Wiosną był zwrot paczki z adnotacją „adresata nie”. Wszystkie listy pisane z trzech obozów miały podobną treść.

Nazwisko Mariana Kaszuby znajduje się na „Liście Moskiewskiej” wywózek z Kozielska z datą maj 1940 r. nr 24. Marian był młodym, 25-letnim jeszcze, wolnego stanu, wesołym, towarzyskim człowiekiem, wiel-

kim patriotą. Grał na skrzypcach, interesował się fotografią, utrzymywał osierocone rodzeństwo, marzył, by zostać zawodowym oficerem. Odebrano mu te szanse i pozostawiono anonimowym obywatelem Polski, bez prawa do pochówku przez okres 60 lat. Polski Czerwony Krzyż na poszukiwania rodziny w latach 60. odpisał... zaginał na wojnie.

Większość pamiątek rodzinnych skradziono w czasie wojny, zachowały się tylko pojedyncze fotografie i dokumenty o zatrudnieniu oraz list z Kozielska. Marianowi Kaszubie pośmiertnie przyznany został medal „Za udział w wojnie obronnej 1939 roku” oraz został mianowany na stopień podporucznika postanowieniem z 5 października 2007 roku.

do druku przygotował
Bartosz Kielbasa

Pamięci inż. Stanisława Pijanowskiego (1922-2010)

„żyjemy dopóty, dopóki trwa o nas pamięć wśród innych ludzi”

9 czerwca zmarł w wieku 87 lat kustosz Muzeum w Głuchej Puszczy, doświadczony leśnik, wybitny regionalista, gawędziarz) ale przede wszystkim człowiek wielkiego serca – inż. Stanisław Pijanowski. Od ponad 50 lat, mimo wielu przeciwności losu i zawirowań historii, gromadził i chronił od zapomnienia rękopisy i dzieła regionalnej sztuki ludowej. Swoją ogromną wiedzę historyczno-przyrodniczą dzielił się z wieloma pokoleniami młodzieży przybywającej co roku do Głuchej Puszczy.

Na swojej życiowej drodze spotkał wielu przychylnych mu ludzi – regionalistów z Konina, Strzel-

na, Orchowa, Słupcy, Poznań – służących radą i wsparciem w jego niezwykle trudnej misji (zwłaszcza w ostatnim etapie życia).

Wielu z nich uczestniczyło w jego pogrzebie 12 czerwca na cmentarzu parafialnym w Mieścisku. Tym samym dopełnił się swoisty testament filozofa z Głuchej Puszczy, albowiem wcześniej część jego zbiorów pochodzących z rodzinnego miasta wróciła na swoje miejsce, a teraz w końcu i on znalazł wieczny odpoczynek w ziemi przodków. Na szczęście pamięć o jego dokonaniach trwała będzie na wieki w sercach i umysłach przyjaciół i uczniów.

Bartosz Kielbasa



Trzeba grać

Taki tytuł nosił mój artykuł umieszczony w tygodniku „Przegląd Koniński” z 1 maja 1994 r. (nr 18 (737)). „Przegląd” kosztował wtedy, proszę nie zemdleć z wrażenia, 5000 zł. Piszę o tym dlatego, że cena nie była zasługą artykułu, lecz po to, by przedłużyć pamięć jubileuszu swego istnienia, jaki „Przegląd Koniński” obchodził w ubiegłym roku. Wniosek. Pieniądze mogą zmieniać swoją wartość, słowa wypowiedziane żyją dłużej i nie podlegają częstym wahaniom.

Oto fragment artykułu sprzed laty:

„W roku 1954, kiedy Konin miał niepełne czternaście tysięcy mieszkańców, kopalnia zatrudniała 889 pracowników, snujących perspektywy zagospodarowania złóż węgla brunatnego zalegających na południe i północ od Jeziora Gosławskiego (pod nim zresztą też) Wtedy też pojawił się pomysł – trzeba zagrać.

Z polecenia dyrektora inż. Karola Śniegonia i przy zyczliwym wsparciu Związku Zawodowego Górników, 1 kwietnia 1954 r. przystąpiono w kopalni „Konin” do stworzenia Górnicy Orkiestry Dętej. Jej członkami byli amatorzy, pracownicy nie tylko górnictwa. Wszystkich łączyło zainteresowanie muzyką. Założenia orkiestry podjął się, zakochany w brzmieniu instrumentów dętych, muzyk amator Jan Józefiak.

Początki były szczególnie trudne. Brakowało instrumentów i nut. Próby odbywały się w Marantowie, w sali zebrań brykietowni. Ponad czterokilometrową odległość dzielącą Konin od Marantowa, pokonywano rowerami, względnie samochodami ciężarowymi dostosowanymi do przewozu ludzi. Jeszcze gorsze warunki dojazdu mieli mieszkańcy Kazimierza Biskupiego skąd rekrutowała się znaczna grupa muzyków. Część zespołu nie była pracownikami kopalni, co wiązało się z dodatko-

wymi kłopotami zwalniania ich na próby i występy.

Premierowy pokaz orkiestry odbył się już 1 maja w czasie pochodu robotniczego święta. W tym czasie w nowej części miasta stało tylko kilka domów, dlatego wszelkie manifestacje polityczne, patriotyczne i rocznicowe, organizowano w lewobrzeżnym Koninie. Pierwszego maja uczniowie szkół oraz pracownicy zakładów i instytucji gromadzili się na gimnazjalnym boisku, skąd o wyznaczonej godzinie udawali się na plac Józefa Stalina (dzisiaj znany pod nazwą placu Zamkowego). Na specjalnym podwyższeniu zajmowali miejsca długo przemawiający do tłumu działacze polityczni miasta i powiatu. Z uwagą przyglądał się wszystkim gipsowy biust wodza postępowej ludzkości, obrońcy pokoju i i budowy sprawiedliwości społecznej, wypróbowanego przyjaciela narodu polskiego – czyli patron konińskiego placu Dżugaszwili Wissarionowicz Józef Stalin.

Po wysłuchaniu budujących referatów i obowiązkowym potępieniu imperialistów angloamerykańskich, uczestnicy manifestacji

Pożegnanie Pani Krystyny

Swą ostatnią
ziemską podróż
w upalne południe
odbyła w towarzystwie
dwunastu osób
w tym księdza
organisty

i niosącego krzyż
nie wróciła do Żychlina więc
Żychlin przyjechał do Niej
już nie będzie samotnie
oczekiwać głosu
ożywczej trąby anielskiej
została z Nią
garść ziemi przywieziona
z parku jej młodości
spod olbrzymiej lipy
rosnącej obok
rodzinnego gniazda.

Jadwiga Naskręcka 10.06.10.

Krystyna Runie (z domu Grafowska – wnuczka ostatniego właściciela Żychlina – Rafała Bronikowskiego), zmarła 29.05.2010 r. w wieku 89 lat w Szpitalu Opiekuńczo-Lecznym w Krakowie, a wraz z nią wygasła linia Bronikowskich z Żychlina. 9.06.2010 r. została pochowana w Krakowie.

ze sztandarami, transparentami oraz portretami Lenina, Stalina, Bieruta i Rokossowskiego, kroczyli ulicami Mickiewicza, Kościuszki, Dąbrowskiego i Armii Czerwonej na plac Wolności, gdzie na wzniesionej trybunie stali wielcy tego regionu. Tutaj pochód się rozwiązywał.

W takim klimacie politycznym debiutował kopalniany, 26 osobowy zespół muzyków. Jego członkowie jeszcze nie posiadali pięknych czarnych mundurów i czerwonych pióropuszy. Nosili uniformy koloru stalowego, przysługujące dozorowi górniczemu. W tym czasie na terenie Konina istniały jeszcze dwie orkiestry: kolejarska i strażacka. Zespoły znane i cenione przez mieszkańców. Przez wiele lat górnicy współzawodniczyli z nimi o sympatię i popularność.

Okazji do różnych występów, zarówno w przeszłości, jak i teraz, było multum. Wymieńmy kilka charakterystycznych, z

drugiej połowy lat pięćdziesiątych: 9 stycznia 1955 r. nastąpiło otwarcie hotelu „Dom Młodego Górnika” (Al. 1 Maja), 3 grudnia 1955 r. nadano nazwę „Górnicy” ulicy wytyczonej w prawobrzeżnym Koninie, pierwszej z projektowanych w tej części miasta, 21 lipca 1956 r. udostępniono pracownikom kopalni ambulatorium lekarskie w Marantowie, 31 sierpnia 1958 r. dokopano się do pokładu węgla na odkrywce „Gosławice”

Od września 1958 r. do sierpnia 1959 kapelmistrzem orkiestry był Tadeusz Klonowski, po nim do 1967 r. Hieronim Augustynowicz. Za ich kadencji zespół uczestniczył w takich wydarzeniach, jak: uruchomienie odkrywki „Pątnów” (1962 r.), zelektryfikowanie linii kolejowej Kutno-Konin (1962 r.) oraz Konin-Poznań (1964 r.), wzniesienie Huty Aluminium „Konin” (1965 r.).

dokończenie na str. 3

Wywiady Stanisława Sroczyńskiego

Z dyrektorem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Koninie, Henrykiem Janaskiem o Wielkopolskim Dniu Bibliotekarzy i Bibliotek, ale nie tylko...

– Cieszę się, że wreszcie mamy odrobinę wolnego czasu pomiędzy imprezami, w które, nie ukrywam, jesteś bardzo zaangażowany, aby trochę porozmawiać. Ponieważ trudno oddzielić pewne działania, będziemy musieli z konieczności dotknąć wszystkiego po trochu. Może zaczniemy od Wielkopolskiego Dnia Bibliotekarza, który odbywał się w tym roku w Koninie.

– To były faktycznie trudne chwile, ale – jak wiesz – taki już w kulturze jest maj. Dni Konina przynoszą tyle imprez, że wszystkie placówki muszą pracować pełną parą – dodatkowo mamy Rok Chopinowski. Uroczystości odbyły się w KDK-u gdzie rozstrzygnięto X edycję konkursu „Jak cię widzą” – od nas została zauważona i nagrodzona Filia nr 7 MBP w Koninie przy ulicy Sosnowej.

– Z Chopinem też już się chyba trochę uporaliście (tutaj muszę dodać, że Henryk Janasek był inicjatorem oraz założycielem Koła Chopinowskiego w Żychlinie, przyczynił się do wykreowania Żychlina jako ośrodka kultu chopinowskiego i wpi-

sania go do programu rządowego „Dziedzictwo Fryderyka Chopina – 2010).

– Właściwie jesteśmy na półmetku, finiszować będziemy od września. A przecież jeszcze jubileuszowy 30. konkurs poetycki. Na szczęście wszystko mamy „podopinane”, byleby starczyło tylko pieniędzy. Przez powódź budżet został nieco okrojony, stąd zwracamy się z apelem do społeczeństwa o pomoc przy realizacji m.in. pomnika Chopina w Żychlinie.

– Wróćmy jeszcze do bibliotek, co mówiono na ostatnim zjeździe?

– Na szczęście biblioteki przeżywają swój renesans – szczególnie te mniejsze. Dąży się, aby stały się one swego rodzaju omnibusami kulturalnymi. Powinny stać się, zwłaszcza dla młodzieży i dzieci, placówką nie od święta, lecz czymś niezbędnym na co dzień. Jak powiedział prezydent Tadeusz Tylak, winny propagować różnorodność inicjatyw kulturowych, badań regionalnych, wydawnictw oraz jak najszersze ukazywanie twórców konińskich.

– Właśnie – jak wyglądamy z wydawnictwami...

– Przywiązujemy dużą wagę do tego rodzaju działań – w 2009 wydaliśmy kilkanaście pozycji. Poza tym digitalizujemy materiały archiwalne związane z Koninem. Wydaliśmy dukaty lokalne miasta, nawiązujące do słynnej ptolemejskiej Setidawy (dawnej być może nazwy miasta). Ogłosiliśmy konkurs na wiersze o Chopinie, Bursztynowym Szlaku. Odbywają się sesje naukowe. Dużym zainteresowaniem cieszy się konkurs poetycki dla dzieci „Zielone rymy” – porusza on ważną sprawę – ekologię. W tych wszystkich działaniach na pierwszy plan wysuwamy edukację dzieci i młodzieży. Chcę jeszcze wspomnieć o ciekawej wystawie „Chopin w medalierstwie” i pięknym katalogu...

– Henryku, musimy z powodów technicznych (jak zwykle) już pomaleńku kończyć, a chciałbym jeszcze parę słów o Tobie prywatnie napisać. Powiedz tylko jeszcze, co dokładnie oznacza wprowadzone przez Ciebie pojęcie „skandynawski model biblioteki”?

– Syntetycznie rzecz biorąc: w każdej dzielnicy wielofunkcyjna fi-



lia, o jak najszerszym profilu działalności z możliwością zarobkowania (np. mała poligrafia czy coś w tym sensie), ale przede wszystkim pełna animacja życia kulturalnego dzielnicy. Kończymy komputeryzację zbiorów – niedługo każdy będzie mógł w domu sprawdzić, co mamy w bibliotece i sobie zamówić, może nawet z dostawą pod swój adres (aktualnie usługą tą objęliśmy niepełnosprawnych).

– Henryk jest z zawodu historykiem, ale ciekawsze są jego szkolenia zagranicą: we Frankfurcie n/Menem („Organizacja i finansowanie bilateralnych projektów realizowanych w ramach

unijnych”), w Wiedniu („Współpraca jednostek samorządowych sektorem finansowym”), Szwecja – w ramach Programu Unijnego Sokrates („Formy kształcenia ustawicznego w krajach UE”) oraz szeregi innych.

Oprócz wielu odznaczeń posiada Złoty Krzyż Zasługi. Ostatnio dodatkowo sprawuje funkcję wiceprezesa Tow. Przyjaciół Konina. Wypada również wspomnieć, że w latach 1989-20 był posłem Sejmu X kadencji. Dziękuję za rozmowę, życzę Ci dużo wytrwałości w dalszej pracy oraz działalności społecznej.

StS

Obrazki powodziowe Wenedy Trzeba grać



Płynęli motorówką po zalanych polderach już do ostatniego domu, skąd mieli zabrać rodzinę państwa P. na suchy

ład. Spieszyli się, gdyż nadchodził wieczór, a z nim niebezpieczny, mroczny czas. Na razie było pięknie, słońce chylące się ku zachodowi połyskiwało złotym blaskiem na bezmiarze wód i tylko korony drzew wystające z toni ciemniały kształtami ogromnych bukietów tajemniczych roślin. Ujrzeni szereg jednorodzinnych domków, kolorowych, porażczo-wo-żółtych, wyglądających jak cudeńka z baśni, utopionych po okna w zwierciadlanej wodzie. – Cudownie! Rzeczywiście bajkowo! – powiedział strażak Leon do kolegi Henryka.

– Ale mniej pięknie wyglądają od wewnątrz – odpowiedział Henryk. – Przecież widziałeś, gdy weszliśmy do środka. Mokre, czarniawe meble, rozrzucony sprzęt kuchenny – westchnęli – oby wreszcie skończyły się te liczne i niszczące opady. Leon pokiwkiwał wątpiako głową – Zapowiadają dalsze opady. Dopłynęli do ostatniego domu. Mieszkańcy cze-

kali na nich na pierwszym piętrze, przy otwartym oknie, małżeństwo z dwójką dzieci. Akurat tyle miejsc było w ich motorówce. Strażacy najpierw wzięli dzieci i posadzili na ławce motorówki, mężczyzna sam przeszedł do łodzi a potem strażacy pomogli kobiecie.

– Józiu, a starsza pani zostanie? – powiedziała drżącym głosem kobieta.

– Jaka starsza pani – zainteresował się Henryk.

– Tam, w tym starym domku na wzgórzu mieszka staruszka, pani Swojska – niechętnie wyjaśnił mężczyzna. – Zapewne liczy sobie 80 lat.

– Nie możemy zabrać więcej osób do naszej łodzi. Musiałby ktoś z nas zostać.

– Może ty, Józiu – drżącym głosem powiedziała kobieta.

– Ja? A gdyby stało się jakieś nieszczęście, kto będzie pracować na ciebie i nasze utrzymanie? Koniec gadania. Sprawa wyjaśniona. Musimy płynąć, bo niedługo nastanie wieczór.

– Chwileczkę, Ja zostanę! – powiedział strażak Leon. – Jestem kawalerem i nie mam dzieci.

– To prawda, że staruszka wymaga pomocy, ale tak naprawdę, to nikomu już nie jest potrzebna! – sprzeciwił się pan

Józef.

– Ja zostaję – powiedział stanowczo Leon. – Przyplynie po mnie jutro o świcie.

Wszedł przez okno do domu i zniknął na schodach. Henryk poprowadził motorówkę do starego domu na wzgórzu. Wszedł do wody i dotarł do drzwi, które były otwarte. Chwyił za futrynę i zajrzał do wnętrza. Na wprost siedziała siwa staruszka, podpierając się laską, by woda, sięgająca już do kolan, nie przewróciła krzesła. Jej szeroko otwarte oczy wyrażały obłądny strach, krzyczały bez słów: pomocy, pomocy!!!!

– Już dobrze, już dobrze – powiedział ciepło strażak.

Podszedł bliżej, dopiero teraz zobaczył że kobieta trzyma na kolanach czarnego kotka, którego oczy pobłyskiwały czystym szmaragdem.

– On jest mały, maleńki! – nie zajmie wiele miejsca – powiedziała cicho kobieta. – Ja nie zostawię go, nie mogę.

Henryk uspokoił ją kiwnięciem głowy i podniósł kobietę razem z jej kotem. Woda ciekła z jej sukni, ale wyraz oczu zmienił się. Teraz widać w nich było nadzieję i ufność. Ruszyli ku łodzi. – Nigdy nie zapomnę tych przerażonych oczu starej kobiety – pomyślał Henryk.

Weneda

dokończenie ze str. 2

Były i inne występy organizowane z różnych okazji. Z kronikarskiego obowiązku przypominamy, że od 1963 r. pochody pierwszomajowe odbywały się w nowych dzielnicach prawobrzeżnego Konina zawsze z udziałem górniczej orkiestry.

Krótki przegląd wydarzeń tamtych lat niezbitie pokazuje, jak bardzo mocno wpisane są dzieje zespołu w historyczne kalendarium Konina. I nie tylko, nasi górnicy występowali wielokrotnie w Poznaniu, byli świadkami wodowania statku m/s „Konin”, uczestniczyli w otwarciu kombinatu ogrodniczego w Wieruszewie, uruchomieniu walcowni blach aluminiowych, oddaniu do eksploatacji nowych zakładów wydobywczych kopalni, przekazywaniu dzieciom szkół i przedszkoli, mieszkańcom miasta ośrodków sportowych i rekreacyjnych. Okazji było zawsze dużo, bo Konin się ciągle rozbudowywał. W 1964 r. miał 24000 mieszkańców, w 1970 – 45000, a 26 kwietnia 1974 r. urodził się pięćdziesięcioletni obywatel naszego grodu.

W latach 1967-1977 dyrygentami orkiestry byli: Tadeusz Klonow-

ski (ponownie), Edmund Wilgocki i Zygfryd Kulczewski. Ten ostatni kierował muzykami przez siedem lat, do 1991 r. o nim batutę przejął muzyk z wykształcenia, Tadeusz Werbiński, a po jego odejściu na emeryturę, od września 1991 r. zespołem kieruje Wojciech Jankowski, też dyplomowany, utalentowany muzyk”.

Artykuł zamieszczony w „Przebiegach Konińskim” 1 maja 1994 r. jest znacznie obszerniejszy. Ograniczyłem się w nim do opisanie dawnych lat. W książeczce wydanej przez kopalnię „Konin” (1994 r.), zatytułowanej „Przeszłość dźwiękiem zapisana” zamieściłem pełne kalendarium i alfabetycznie ułożony spis członków zespołu. Jest w niej wykaz wyróżnień przyznanych orkiestrze. W 2009 roku, nakładem orkiestry, ukazał się folder „Orkiestra dęta kopalni „Konin” 55 lat” pióra Grażyny Ławniczak (muzyka tej formacji). Informator z profesjonalnie wykonanymi zdjęciami przez Piotra Ordana. Zawarta w niej treść ogranicza się do wydarzeń z lat 2004-2009.

Zygmunt Kowalczykiewicz

Zauważone...

Napotkałem na konińskich błoniach grobek, który mnie wzruszył, choć inni mogą to różnie odebrać.

Osobę związaną z mogiłką zwierzęcia prosimy o kontakt z „Koninianami” – chętnie opiszemy tę historię.



A w „Łażni” wciąż gorąco. Oglądaliśmy ciekawą inicjatywę Danuty Drzewieckiej, jej syna Karola oraz Mirka Jurgielewicza, którzy „wymalowali” z okazji Dni Konina piękne portrety wielu znajomych Koninian

zdj. - RAD

zdj. - RAD



Nasz redakcyjny kolega oraz prezes Towarzystwa Przyjaciół Konina Piotr Paweł Rybczyński odebrał zasłużonego Benedykta. Serdecznie gratulujemy. Spodobala nam się refleksja wiceprezydenta Andrzeja Sybisa, że nominat z powodzeniem może dołączyć do już posiadanych imion, właśnie imię Benedykt

Gondolierzy znad Warty



Przez wiele dni Wojtek obserwował w TV powódź w różnych regionach kraju. Prawie codziennie wydzwaniał do nas, pytając o poziom wody w Warcie, która wypełniła nie tylko swoje koryto, ale także rozlewisko w kanale Ulgi. Całe szczęście, że Starówka obroniła się przed powodzią. Woda pojawiła się tylko w piwnicach domów i na niektórych podwórkach. Ta sama woda, bez której nie da się przecież żyć, nieujarzmiona przez człowieka, niosła zniszczenie. Tereny zalane przez kapryśną rzekę wyglądają teraz podobnie jak w wierszu p. Ewy Kuk „Warta w Koninie” (ze zbioru „Między wierszami”).

”zagarniająca połacie błoń, niewykiwana wałami, wynajmująca park i okoliczne piwnice, na odchodnym – błoto i ...komary”

Bywały w naszym mieście powodzie, m.in. w latach 1946, 1947, w trudnym okresie powojennym, kiedy to wezbrane wody Warty przerwały wał i rozlewały się na ogromnej przestrzeni zatapiając łąki i domy w Szczepidle, Osadzie, a potem wdzierały się do domów na Starówce. Spiętrzone fale przelewały się przez ul. Grunwaldzką, Wodną, a następnie posuwały się w głąb miasta ulicami Krótką, Śliską, Gwoździarską, Kościelną, Żwirki i Wigury. Mieszkańcy piętrowych domów przyjmowali swoich sąsiadów z parteru, uciekających z zalanych mieszkań. U p. Świniarskich przy ul. Gwoździarskiej znalazła gościnę rodzina Sroczyńskich i Łasińskich. Podobnie wspierali się mieszkańcy innych ulic. Rodzinę Obarskich z ul. Żwirki i Wigury powódź zaskoczyła w nocy. W pośpiechu ewakuowali się na piętro do p. Wyrwów, a ich sąsiadów przygarnęli do siebie p. Kozłowscy.

Mieszkałam wtedy przy ul. 11 Listopada (dziś Wiosny Ludów) na wysokim parterze i jako 5-letnie dziecko zapamiętałam tylko moje podwórko wypełnione wodą.

Mój nieco starszy kolega, Kazik, sypał wspomnieniami jak z rękawa. Obowiązującym wtedy środkiem lokomocji były wszelkie pojazdy pływające: łodzie, tratwy, balie itp. Okazała łódź, która zerwała się z uwięzi w Szczepidle, dopłynęła do ich domu i stała się prawdziwą „gondolą” służącą okolicznym mieszkańcom. Odbывała ona regularne rejsy po chleb do piekarni p. Wolbachów czy też po wędlinę do p. Ganowiczów, między zatopionymi drzewami, które wyglądały jak krzewy. Kilku błyskotliwych i pomysłowych młodych ludzi zbudowało dziwną tratwę z wyrwanej bramy i opon, zgodnie ze znaną zasadą, że nie ma geniuszu bez odrobiny szaleństwa.

Podobno kaczki, które przygnała wysoka fala z Osady, znosiły jajka wprost do wody. Trzeba było je tylko odpowiednimi czerpakami podnosić z samego dna. Dorośli z przerażeniem patrzyli na spustoszenia czynione przez powódź, martwili się o przyszłość, natomiast dzieci traktowały ją jak przygodę.

Przysłuchując się opowieściom o „gondoli” i innych urządzeniach pływających, brakowało mi tylko lirycznej pieśni naśladującej jednostajny ruch wiosel konińskich „gondolierów”. Tak to bywa po latach, że zapominamy o wydarzeniach smutnych, przechowujemy natomiast w pamięci małe dziecięce radości.

Maria Cieślak



Winkiel

Wiosna w pełni, prace remontowe nabierają rozpędu i dzięki temu usłyszałem rozmowę, która wywołała uśmiech na mojej twarzy. Jeden z pracowników układający kostkę brukową poprosił drugiego o winkiel.

Słowo winkel pochodzi z języka niemieckiego i służy do określenia narożnika, rogu domu lub ulicy, ale jest również nazwą przyrządu wyznaczającego kąt prosty. Podobnie jak wiele innych wyrazów zapożyczonych z mowy niemieckiej, uległ zmiękczeniu, stąd mówimy winkiel.

Wspomniany rzeczownik w mowie potocznej „dawnego” Konina odgrywał rolę słowa bazowego, pełniącego bardzo różnorodną funkcję. Na przykład można było go użyć dla określenia miejsca spotkania. I tak domownicy z okolic palcu Wolności winkiel przypisywali do narożnika dawnej restauracji Trynklera. Natomiast w zrozumiałej opozycji do tego poglądu byli mieszkańcy ulic Reformackiej, Kościuski, Wodnej czy Dąbrowskiego. Jednakże wszystkich cechowała pewność, że przed seansem w kinie „Górnik” na swoją wybrankę poczekają na umówionym winklu. Nie muszę nadmieniać, że w nerwowym oczekiwaniu, często zza niego wyglądali.

Winkiel mógł posłużyć również jako nawigator, na przykład w celu zakupu pijących krew kregowców. Dlatego wówczas biegle w sprawach leczniczych mieszkaniac Starówki, tłumaczył zainteresowanemu: Pójdiesz pan na targowicę, a tam, zaraz na winklu stoi sprzedawca pijawek. U niego kupisz, najlepsze. Jako przestrożę dodawał Uwważaj pan! Inni mogą sprzedać końskie!

Słowa winkiel używano również do podkreślenia drastyczności sytu-

acji. Był taki czas, że ulicę Kramową ukochały przekupki. Z tego powodu mieszczańki z grodu nad Wartą chętnie z ich usług korzystały. Na moment powróćmy wspomnieniami do początku lat sześćdziesiątych, by posłuchać rozmowy ówczesnych klientek: Kochaniutka, popatrz, co za uparciuch z tej przekupy! Na złotówkę nie chciała opuścić. Złociutka, a widziałas jak spojrziała na ciebie z winkla? W tłumaczeniu na nasze oznaczało złowrogie spojrzenie ze strony sprzedającej. Zdarzało się również, że zagadane nastolatki zbyt długo stały przy zbiegu ulic. Wówczas przechodząca obok mama jednej z nich z wyrzutem powiedziała: Nie przystoi żeby dziewczyny stały na winklu, jeszcze wezmą was na języki. Pozostawiam w sferze domysłów, dlaczego „narożnikowe” rozmowy dziewczyn tak zirytowały opiekunkę.

Odpowiednio użyty rzeczownik potrafił pełnić dwojakie funkcje. Nieraz stawał się atutem w podkreślaniu fachowości, ale również mógł służyć do dyskredytacji konkurenta. Kiedy piece kaflowe były nieodzowną ozdobą naszych mieszkań mogła zdarzyć się przedstawiona sytuacja. Jak wiadomo skutek nie odpowiedniej eksploatacji, czy też wpływu czasu piece ulegały zniszczeniu. Wówczas do naprawy lub postawienia nowego zapraszano zduna. Zatem oprzyjmy się pamięcią o ciepło rozgrzanych kafli, a trzask płonących szczap oraz iskiarki spadające do popielnika przypomną nam, że niegdyś Konin rzemiosłem stał. Niestety, dziś to tylko wspomnienie czar! Wspomniany zdun starał się na miejscu zgodzić robotę – bo wówczas w ten sposób określano zawarcie umowy. Zwykle pod koniec rozmowy nasz fachman podawał cenę za usługę, jednakże

– widząc zawahanie w oczach gospodyni – dziwił się: Za drogo? To może pani weźmiesz tego partacza? – tu padało nazwisko. Proszę bardzo! Tylko u niego nic winkla się nie trzyma. Owa przestroga oznaczała, że wówczas piec będzie postawiony bez znajomości rzemiosła, natomiast z jego strony...

Jestem gotów założyć się o konia z rzędem, że w warsztatach szklarskich Puchalskiego, Moczyńskiego czy kowalskim Wieczorkiewicza oraz dziesiątkach innych wszystko należyte winkiel trzymało.

Nawet czasy, gdy w mediach pojawiły się informacje, że Łajka, że Gagarin nie potrafiły przysłonić wszechobecnego winkla. Kiedy pan Jan Janiak w podwórzu posesji przy Al. 3 Maja 6 postanowił otworzyć piekarnię, do postawienia pieca zatrudnił mistrza murarstwa Leona Urbaniaka. Wówczas okoliczni mieszkańcy szeroko otwierali oczy na „cudą”, jakich mieli być świadkami. W napięciu i z otwartymi ustami przysłuchiwali się dysputom prowadzonym pomiędzy inwestorem, projektantem a wykonawcami. Jednego dnia dowiedzieli się, że sposób ułożenia rur, spowoduje, iż mistrzowi murarstwa nie uda się złapać winkla. Co w konsekwencji może spowodować katastrofę budowlaną. Buchający w niedalekiej przyszłości żar z pieca, przeogromne ilości cegły, rejwach na budowie stały się tłem. Bowiem liczyła się tylko konieczność złapania odpowiedniego winkla. Widocznie Leon Urbaniak złapał go należycie, bo piekarnia funkcjonowała przez wiele... wiele lat.

Nie dalej jak wczoraj ukochany rzeczownik znów przypomniał o swoim istnieniu. W domowej szafce na buty często samoczynnie otwierają się drzwiczki. Na wszelki wypadek przemilczę, czyje to dzieło, bo z tym winklem u wykonawcy...

Włodzimierz Kowalczykiewicz



rys. Mirosława Dimitrow

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania

KONINIANA

ADRES REDAKCJI:
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,
tel. 63-243-77-00, 63-243-77-03
ISSN 0138-0893

tpk-sroczyński@wp.pl
Redaktor prowadzący – Stanisław Sroczyński, Zespół redakcyjny – Piotr Rybczyński, Zygmunt Kowalczykiewicz (st), Jan Sznajder, Janusz Gulczyński, Włodzimierz Kowalczykiewicz (mł), (Internet)